

# Wcielenia

## Wyznania szczerego entuzjasty teatru

**PAWEŁ GŁOWACKI**

*Jackowi Drożdżowi na 25-lecie*

**P**rzypominam sobie pana nazwisko – powiada gdzieś u Oscara Wilde’a markiz do markiza, powitalnie ściskając mu dłoń na cotygodniowej kolacji poniedziałkowej u markizy stułetniej – *przypominam sobie pana nazwisko, ale za żadne skarby nie mogę przypomnieć sobie pana twarzy...*

Czemu tak? W zeszyły poniedziałek twarz była inna? Wszystkie twarze były nie te, co dziś? Nawet jeśli, to spytać należy: na ch.. komu, panie Jezzu, takie Pret-a-Porter lic?

We „Wszystko o mężczyznach” Miro Gavrana, którą to pajęczynę zapętłających się skeczy teatralnych Tomasz Obara na Scenie Pod Ratuszem (cywilizowana placówka Teatru Ludowego) wyreżyserował, aktorzy trzej – sam Obara, Piotr Pilitowski oraz Krzysztof Górecki – przez dwie godziny z małą przerwą są niczym markizowie u „dzikiego” Oscara, tyle że nie mają czasu na frazy „dzikiego” Oscara, wygłaszane twarzą w twarz przy arystokratycznym kominku. Trzeba im przebierać się gwałtownie! Gdzieś za kulisami maski fruują stadami! Pomyli się któryś z kapłanów Melpomeny, złowi nie tę, co trzeba – i dopiero jajca będą! Większe niż te, gdy się nie mylą!

A nie mylą się. Trzech bez przerwy i na pstryknięcie maski zmieniać musi. I żebyż tylko o twarze szło! Wszystko tu zmieniać trzeba. Gest, krok, temperament, głosu tembr, sposób gadania, oko, włos, oddech i wreszcie twarz, na samym końcu twarz. Na pstryknięcie zmieniać muszą ciała swoje, bo tym razem teatr niewiele więcej ma do dyspozycji. Owszem, kostiumy za kulisami, muzyczka na konsolcie elektryka, kolory papuzich świateł, cisze dowolnie krótkie, dowolnie długie ciemności. Tyle jest, tyle, lecz ni cała więcej. Mało? Gest, krok, temperament, tembr, gadanie, oko, włos, oddech, twarz, słowem – człowiek cały. To mało?

Jest dokładnie tyle, ile trzeba, by trzech przeszło przez sześć zapętłających się wcieleń. Kumple w siłowni, dwóch braci i na raka umierający ojciec, kurdupel w kraciastej koszulinie wzięty z ulicy i dwóch „macho” pornobiznesu, trzech, ściślej mówiąc, trójce (choć nie podejmuję się ustalić, kto tu jest kto...) gejów, wreszcie sklerotyczni dziadkowie w domu spokojnej starości. To dużo, bardzo dużo, a czasu nie ma. Zaledwie dwie godziny – istnieć natomiast aż piętnaście! Czasu nie ma – a świata całe pół do opowiedzenia, więc zostaje, co zwykle w takich razach w teatrze zostaje. Aktorstwo.

Stolik na środku sceny, jeśli o znaczenie kształtów idzie – stolik zupełnie obojętny, a wokół trzy identycznie obojętne krzesła. Do tego kwieciste koszule „ciot”, naćwiekowane „skóry” alfonsów, byle jakie fatalaszki rodzinki „zara-

zonej”, sportowa odzież „siłowników”, nędza pensionariuszy domu umierania, nędza godna pięknej nędzy starców w „Skarbach świata całego” Bohumila Hrabala. No i oni. Obara, Pilitowski, Górecki. Aktorzy. Powiem ostro, powiem nieprzyjemnie, powiem do tak zwanego „spodu”: Obara.

Sprawa w tym, że gdy ma się mało – z malizny trzeba umieć wydusić wszystko. Nic nie mając – każde słowo należy zmienić w opowieść małą. Każde swoje słowo, każdy gest, krok, ciszę, krzyk, każdą twarz swoją. Obara jest wyrazisty – właśnie tak wyrazisty. Mały wielki upierdliwiec detali. Nie żebym teraz jakieś aktorskie nędze Pilitowskiemu i Góreckiemu wytykał, skądże. A nawet przeciwnie. Dawno, bardzo dawno (a Góreckiego chyba nigdy w życiu) nie widziałem panów tych w formie aż tak smakowitej. Ich role, ich przejście przez pięć zapętłających się wcieleń – to jest przejście pamiętne. Pamiętne, ale nie upierdliwe. Niestety. Gdy nie ma co jeść – mucha bywa cymesem. Gdy scenicznego baroku brak – aktorowi musi wystarczyć paznokcie. Jeśli paznokcia nie ma – brak ten uwiera, bardzo. W tym sprawa.

Milimetry. Farfocle, co by na nie normalny człek w normalnych okolicznościach nawet nie splunął. Beknięcie. Oko. Rzęsa. Sylaba. Bobki intonacji. Cmoknięcie. Milczenie. Nic, prawie nić. Wszystko, kolosalny kosmos. Z tego Obara, za Gavranem idąc, lepi swą opowieść o... Nie cierpię debilnego pytania: „o czym to, panocku, jest?”. Nie cierpię debilnego pytania tego i gardzę odpowiedziami na nie, ale tym razem – niech będzie. Swą diabelnie śmieszną, migotliwą, kabaretowo-wicowo-jarmarczno-delartowską, z wciąż zmieniających się scenek ulepioną opowieścią o męskości, o naturze męskości, o męskości alfach i omegach – Obara lepi tak, jak zegarmistrz składa zegarek. Paproch do paprocha... Tyle wystarczy? Naprawdę?

Milimetr wystarczy, by z umierającego na raka stać się zazdrosnym gejem, guru pornobiznesu, osiłkiem w siłowni, dyszącym trupem w domu jesieni? Przejście od wcielenia do wcielenia to przejście po paznokciu? Tak mało trzeba, byś we wtorek rano w lustrze nie rozpoznał tego kogoś, kto w poniedziałek wieczorem jako ty położył się w twym łóżku? Między początkiem a końcem – nic, tylko kilka ziaren piachu?...

Zbyt śmiało pytam. Problem w tym, drogi panie Tomku, że gdy się – jak pan swoje „Wszystko o mężczyznach” – kończy iście slapstickowym portrekiem rodzajowym sklerotycznych starców drepających po ostatnim parku swego życia – niknie cytrynowy smak dna skeczów scenicznych Gavrana. Zostaje komedia. Świetna, bo świetna – lecz tylko komedia.

**Teatr Ludowy.  
Scena Pod Ratuszem.  
Miro Gavran „Wszystko o mężczyznach”.  
Reżyseria Tomasz Obara.  
Scenografia Marek Braun.  
Kostiumy Jolanta Łągowska.**